

Tytuł pisma nawiązuje do najbardziej znanej powieści Zygmunta Nowakowskiego

PRZYŁĄDEK

Winieta wzorowana jest na projekcie graficznym „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”

DOBREJ NADZIEI

Wydawca: Pracownia „Małe Dzieje”
poznawanie i promocja historii lokalnej
ul. Św. Gertrudy 9/12, 31-046 Kraków
e-mail: pracownia@male-dzieje.pl

Redakcja:
Paweł Chojnacki, Piotr Korbiel

Druk: Drukarnia Polska Spółka Z O.O.

„Przylądek Dobrej Nadziei” został złożony przy użyciu historycznych polskich krojów pisma – Antykwa Półtauskiego i Cyklop. Digitalizacja – Janusz Marian Nowacki

Rok II. Kraków, 3–23 czerwca 2012. Nr.4.

EXTRA CRACOVIAM

NON EST VITA



Portret Zygmunta Nowakowskiego pędzla Kazimierza Sichulskiego (1933) – ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, reprodukcja za uprzejmą zgodą Muzeum.

Tadeusz Nowakowski

O moim imienniku

U podnóża Alp bawarskich leżą wioski i miasteczka jakby żywcem skopiowane ze świątecznych pocztówek. W takim krajobrazie, słodkim jak karmelek, zwiedzaliśmy kiedyś z panem Zygmuntem kościółek wioskowy, ani ładny ani brzydki, ale tak bajecznie w promieniach przygasającego zachodu kolorowy, iż przywodził na myśl prospekt biura podróży, umyślnie wysłiczony dla amerykańskich turystów. Przy bocznym ołtarzu, nad biednym Sebastianem-męczennikiem, pogańskimi strzałami przeszytym na wylot, wiły się słowa ozdobne, modrą farbą wypisane: *Extra Bavariam non est vita*.

Pana Zygmunta urzekło to zdanie:
– To samo mógłbym powiedzieć o sobie – zawołał – poza Krakowem nie ma życia!

* * *

[...] Pytano mnie nieraz w Kraju i na emigracji (ba, nawet podczas przesłuchiwań na gestapo we Włocławku!) czy nie jestem przypadkiem krewnym pana Zygmunta. Nie, nie jestem. Przykre, ale prawdziwe. Nowakowskich jest jak gwiazd na niebie. Nawet gdybym się próbował podszyc pod to zaszczytne pokrewieństwo, rzecz by się szybko wydała: zbyt wielu ludzi w Krakowie i w Londynie zna życiorys mego imiennika na wyrywki.

Marian Hemar

Peana na powitanie skarbów wawelskich

(fragment)

(...)

Nie ma w dziejach narodu
Wygnań ani uchodźstwa
Tak jak nie ma ucieczki,
Wdowieństwa ani sieroctwa,
Jak nie ma zapomnienia,
Przerwy, ani przestanku.

Rozłaka nic nie uśmierca,
Co z oczu, to nie z serca,
Wszystko co znikło, trwa,
Jak w chmurach zgubiona gwiazda,
Jak w serduszu jaskółki
W ciemności, na oceanie,
Trwa prosta droga do gniazda,
Ścieżka przez niebo wytknięta,
I każda chwila ją skraca
I każdy trzepot skrzydełek
Sam z siebie ją pamięta.

Wszystko co znikło, wraca,
Wraca na swoje półki.
Na swoje miejsce na ścianie.
W gablotce, czy w relikwiarzu,
W szufladzie, czy na kolumnie,
Czy w swojej chociażby trumnie,
Na swoim cmentarzu.

*

(...)

Niechajby kiedyś – Boże,
Nastaw ucha wygnaćcej pokorze! –
Niechby kiedyś wróciło do Kraju
Wszystko, co godne Twej łaski.

Wszystko, co warte powrotu.

1961

Marian Hemar, ur. 1901 we Lwowie. Studiował medycynę i filozofię, poświęcił się jednak całkowicie pracy literackiej. Był jednym z twórców nowoczesnej piosenki kabaretowej. Napisał około 3000 piosenek, do wielu z nich skomponował muzykę. Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię na Bliski Wschód, gdzie jako starszy strzelec w Wydziale Oświatowym Brygady Karpackiej prowadził program radiowy i czołówkę Wojska Polskiego. Po 1945 r. w Londynie założył Teatr Literacko-Satyryczny.

Autor wielu sztuk teatralnych, książek poetyckich, tłumaczeń sonetów Szekspira oraz ód Horacjusza. Jako współpracownik Radia Wolna Europa, co tydzień w ramach swojego kabaretu literackiego wygłaszał do kraju swoje wiersze satyryczne.

Mieszkał niedaleko Dorking pod Londynem, gdzie zmarł w 1972 r. Prezentowany utwór pochodzi z wyboru *Liryki, satyry, fraszki. Wiersze do druku zebrała Włada Majewska*, Londyn 1990, s. 36–37.

Dobra nadzieja czy Rubikon?

W rok po ukazaniu się pierwszego numeru naszej gazety przedstawiamy jej czwartą edycję. Wydawać czasopismo o jednym człowieku! Pomysł – wydaje się – osobliwy, ale gdyby warunki materialne pozwalały, to gotowi byłibyśmy publikować nowy numer co miesiąc, przez – co najmniej – półtora roku. I to w podwójnej objętości. Zygmunt Nowakowski był postacią tak bujną oraz wielokierunkową i tak gruntownie został zapomniany, że bez trudu podołalibyśmy temu zadaniu. Tyle nam dał, tak wiele zostawił.

Nowakowski i Kraków... Cóż można powiedzieć więcej o tym splocie miejsca i człowieka ponad to, co sam powiedział, co napisali o nim inni autorzy, których teksty przedstawiliśmy w tym – oraz w poprzednich – numerach. Istnieją zjawiska prawdziwe, mocy których nie sposób udowodniać, których się nie negocjuje. Słońce grzeje i daje życie, a „Zygmunt Nowakowski wielkim krakowianinem był”.

Mówiąc jednak „Nowakowski” myślimy także o innych postaciach jemu podobnych, ważnych dla historii i kultury, a równie jak on – z premedytacją – wymazanych, niesprawiedliwie umniejszonych. Wzmiankujemy w tym „krakowskim” numerze np. o Ferdynandzie Goetlu, ale przywołujemy też osobę „imiennika” z Bydgoszczy – Tadeusza Nowakowskiego, jako przykład, że inne miasta potrafiły docenić swoich „zapomnianych”, wygnanych.

Zapewne dużo jeszcze wody upłynie w Wiśle zanim w tematach maturalnych z języka polskiego pojawi się – jako ambitny „tekściarz” – Marian Hemar (a nie drugi raz z rzędu Agnieszka Osiecka), czy – jako przykład powstającej na emigracji literatury o tematyce martyrologicznej – po Idzie Fink – Stefania Zahorska, czy Hermia Naglerowa. Ale czy podobnie długo musimy czekać, by Zygmunt Nowakowski odnalazł w swoim mieście należne mu miejsce?

Prowadzimy pracę u podstaw, znajdując w niej sympatyków, dzięki którym ukazała się ta gazeta. Są to: Rada Dzielnicy VII Zwierzyniec, organizatorzy „Balu na Stawach”, Rada Dzielnicy I Stare Miasto, prof. Andrzej Nowak, Europejskie Centrum Młodzieży, Fundacja Studentów i Absolwentów UJ „Bratniak”, redakcja pisma studentów „WUJ” oraz „Dziennik Polski”. Dziękujemy!

Powtórzymy wyrażane wielokrotnie stanowisko – ranga postaci Zygmunta Nowakowskiego jest takiej miary, że obowiązek zapewnienia materialnych i technicznych podstaw do jego powrotu spoczywać musi

na instytucjach miejskich, a nie na barkach osób prywatnych, czy organizacji społecznych. Jesteśmy zażenowani faktem, że od roku z górami bezskutecznie przebijamy się do „czynników miejskich” z projektem poświęcenia roku 2013 Zygmunta Nowakowskiemu. Że wszystko idzie tak opornie, tak leniwie. Wnioski dwóch Rad Dzielnic do Rady Miasta o uchwalenie Roku Nowakowskiego pozostały bez reakcji. Jakież podstępny z „Rokiem Matejki”, jakież nieoficjalne, wymuszone sygnały o gotowości do honorowego patronatu nad niesprecyzowanymi ogólnymi obchodami jubileuszowymi.

Panie Prezydencie, Panie Przewodniczącym Rady Miasta, to Nowakowski nam wszystkim przydaje, a nie my jemu. I nie mówimy o braku pieniędzy. Skoro w pustej miejskiej kasie znajdują się środki na finansowanie tak ekscentrycznych pomysłów jak np. nowe logo miasta, to powinny się znaleźć również na bilet powrotny dla Z. Nowakowskiego. Władze Krakowa zawsze będą dysponowały warunkami do finansowania przedsięwzięć kulturalnych, pytanie tylko na co te zasoby przeznacza.

Boimy się, że Kraków – w sensie instytucjonalnym – nie dojrzał do godnego przywitania Zygmunta Nowakowskiego. Może do idei Roku trzeba będzie wrócić w 125. rocznicę urodzin – w 2016 roku? A może jeszcze później? Tak długo już czekał, kilka lat nie sprawi mu zapewne różnicy. Ale pozostaje wstyd.

Dotychczas byliśmy obojętni w wyrażaniu naszych oczekiwań, ale postanowiliśmy skorzystać z przywileju, jaki daje wydawanie czasopisma niezależnego. Komuś jest bliższy Wałach, Machejek, Polewka czy Urbańczyk, komuś – Jan Bielatowicz, Andrzej Bobkowski, Lidia i Adam Ciołkoszowie, Adam Pragier, czy Ludwik Rubel.

Tytuł tej noty, nawiązujący do dwóch powieści Zygmunta Nowakowskiego, obrazuje zniecierpliwienie nas, zespołu prowadzącego pracę nad przywróceniem pamięci o wielkim krakowianinie. Możemy jeszcze dodać – pod adresem „czynników miejskich” – słowa, które śpiewał młody Nowakowski: „skończyły się dni kołatania do waszych serc, do waszych kies”. Nie wydajemy jednak tej gazety jedynie dla urzędników, czy radnych miejskich, ale dla wszystkich mieszkańców Krakowa. Następny numer „Przyłądka” planujemy zadedykować Zygmunta Nowakowskiemu jako oficerowi legionów Józefa Piłsudskiego, autorowi powieści *Wymarsz* i widowiska teatralnego *Gałązka rozmarynu*.

Redakcja PDN

Nowakowszczyk – poznaniak znów pisze o „Przyłądku”!

Sympatyk idei Roku Zygmunta Nowakowskiego – rodem z Poznania, a pracujący w mediach warszawskich – Piotr Lisiewicz napisał 23 maja 2012 r. w „Gazecie Polskiej”:

> W Krakowie ukazał się właśnie trzeci numer pisma „Przyładek Dobrej Nadziei”. Przypomnijmy, że jego idea to przywrócenie temu miastu Zygmunta Nowakowskiego – przedwojennego pisarza, felietonisty, dyrektora Teatru Słowackiego, aktora, a PRZEDE WSZYSTKIM kibola Cracovii. A po wojnie – jednego z przywódców antykomunistycznej emigracji. Z biuletynu Cracovii z 1936 r. „Przyładek” przedrukowuje tekst Nowakowskiego „Jak to w teatrze kuplet o Cracovii śpiewano...”. Jak pisał autor, repertuar Teatru Słowackiego układał „pod kątem meczów Cracovii”, gdyż aktorzy i pracownicy urwaliby mu głowę, gdyby z powodu czegoś tak błahego jak przedstawienie nie mogli iść na mecz. Po zwycięstwie Cracovii nad Ruchem Chorzów 9:0 spektakl rozpoczął się z opóźnieniem, a ze sceny wygłoszono wierszyk na cześć tegoż zwycięstwa, oklaskiwany przez kilka tysięcy widzów. Cóż, dziś kibolskie gusta Nowakowskiego przyjęto by z niesmakiem. Oj, zajęłaby się „Gazeta Wyborcza” dyrektorem-kibolem, zajęła. W numerze także przemówienie Nowakowskiego z 1948 r. w teatrze „Scala” z Londynu z okazji przedstawienia „Wesela”. Kończy je apel: „Abyśmy, gdy przyjdzie chwila, znaleźli kosy wyrwane nam z rąk i ciśnięte w kąt”. Aktualne? <



Zygmunt Nowakowski

Nie ma zawodu

„[...] Nie ma zawodu, nie ma rzemiosła, które by nie deformowało psychicznie, i stąd pochodzi termin francuski *déformation professionnelle*. – Więc malarz, murarz, poeta i szewc piją. Aktor buja. Krawiec ma dziurawe portki itd. Tak zwany zaś «czynnik miejski» staje się w krótkim czasie pierogiem. Mianowicie pierogiem leniwym, jak jego myśl gnuśna. [...]”

„Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 61, 1931.

(Cyt. za: Z. Nowakowski, *Lajkonik. Wybór felietonów z lat 1931–1939*. Opracował H. Markiewicz, Kraków, 1975, „Pierogi leniwe”, s. 42)

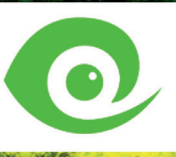
Bal artystów, 1927 r. Widoczni m.in.: prezydent Krakowa Karol Rolle (stoi trzeci z lewej), wiceprezydent Krakowa Witold Ostrowski (siedzi trzeci z lewej) oraz Zygmunt Nowakowski (siedzi drugi z prawej).

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe



Artysta malarz Kazimierz Sichulski, ze swym modelem, podczas malowania portretu, który reprodukowujemy na pierwszej stronie.

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe



**specto
optyk**

**• BEZPŁATNE BADANIE WZROKU
przy zakupie okularów**

• REALIZACJA RECEPT

Kraków, ul. Senatorska 27
tel. 665-020-676
e-mail: spectooptyk@gmail.com
www.spectooptyk.pl



Tadeusz Nowakowski

EXTRA CRACOVIAM NON EST VITA

O moim imienniku

Dokończenie ze str. 1

Więc tylko tyle: pan Zygmunt (prawdziwe nazwisko: Tempka), wstępując na deski Teatru Ludowego w Krakowie (rok 1910), przez pietyzm dla matki przybrał jej panięńskie nazwisko jako pseudonim artystyczny; ściśle mówiąc jako *nom de guerre*. Chciał w ten sposób – o czym sam mówił i pisał niejednokrotnie – wynagrodzić matce wszystkie trudy, niedostatki i wyrzeczenia, jakie poniosła, by swego „Muśka” i jego braci wykiepować na ludzi. Małoż to się napracowała (najczęściej po nocach, przy maszynie do szycia), by synowie jej mogli któregoś dnia przekroczyć próg prześwietnej Jagiellonki! Ledwie więc młody adept Melpomeny, a późniejszy doktorant, usiadł na wóz Tespisa (woźnicą był Rygier, a następnie Solski) – *obiit Tempka, natus est Nowakowski*.

O matce pisał i mówił pan Zygmunt częściej niż o swym ojcu. Zwierzył mi się nawet, że matka jego, lwowianka, córka spolonizowanej Francuski (jeśli mnie pamięć nie myli: siostra narzeczonej Grottgiera), wychodząc za górę Tempkę, nie była całkiem pewna czy nie popełnia mezaliansu.

– W każdym razie dobrze się stało – oddychał z wyraźną ulgą – że rodzice moi związali się z Krakowem. Strach pomyśleć, że mogliby się, na przykład, wybrać do Dalmacji. [...]

U podnóża Alp bawarskich leżą wioski i miasteczka jakby żywcem skopiowane ze świątecznych pocztówek. W takim krajobrazie, słodkim jak karmelek, zwiedzaliśmy kiedyś z panem Zygmuntem kościółek wioskowy, ani ładny ani brzydki, ale tak bajecznie w promieniach przygasającego zachodu kolorowy, iż przywodził na myśl prospekt biura podróży, umyślnie wyszczelniony dla amerykańskich turystów. Przy bocznym ołtarzu, nad biednym Sebastianem-męczennikiem, pogańskimi strażnikami przesyłanym na wyłot, wiły się słowa ozdobne, modrą farbą wypisane: *Extra Bavariam non est vita*.

Pana Zygmunta urzekło to zdanie: – To samo mógłbym powiedzieć o sobie – zawołał – poza Krakowem nie ma życia!

Złociście strzały na obrazie z miejsc przypominały panu Zygmunutowi legendę o św. Janie Kantym (z Kęt), wykładowcy akademii krakowskiej. Wchodząc do auli, roztargniony bakałarz, zamiast na haku, powiesił płaszcz na słonecznym promieniu. Uczynny promień do późnego popołudnia posłusznie spełniał rolę wieszaka. Dopiero, gdy słońce zgąsło za oknem, płaszcz spadł na ziemię, a święty roztrzępianiec uświadomił sobie, że życiowość niebieska otacza go nawet w sprawach błahych.

Spacerowaliśmy wśród klonów pofarbowanych złotem i czerwienią wczesnej jesieni, w dolinie ścigały się górskie strumyki, wrony rozwałczyły smutek po niebie, miały nas góralskie dzieci grzecznie wstrząsające na nasz widok płowe czupryny na oczy, a pan Zygmunt, tylko ciałem w tej bawarskiej wiosce obecny, wędrował myślą po Krakowie, oddychał nadwiślańskim powietrzem, rozdeptywał liście na Plantach. Ni stąd, ni zowąd przypominał mu się fragment muru klasztornego na Gródku, to znów jakaś sadzawka w pobliżu skałkowickiej. Wspominał o kościółku drewnianym na Woli Justowskiej, już po wojnie przeniesionym pod miasto z Komorowic. Utkwił wzrok w domu

Długosza. Przypatrywał się wjazdowi do Barbakanu. Żalił się na zburzenie murów obronnych. Zżył się na „burzymurków”, jakby tej zbrodni dokonali przed kilkoma dniami. Czekalem, kiedy wybuchnie gniewem na Brzetysława Czeskiego, który poważał się spustoszyć gród nie tak dawno, bo w r. 1038. (Przypominał mi się mój historyk w szkole, który o rozbiorach Polski mówił ze łzami w oku.) Zdziwił się, że nie słyszałem nigdy o nagrobku bł. Michała Giedroycia w kościele św. Marka. Tylko przez wrodzoną delikatność nie nauwymyślał mi od ignorantów. A w połowie tego dziwnego spaceru po bawarskim lasu przystanął przed progiem znajomego budynku, co go w zeszłym stuleciu w stylu paryskiej opery zbudowano: przed Teatrem im. Słowackiego. Rzekłbyś: przybił do portu. [...]

Ani się nie spostrzegłem jak na leśnej ścieżce, w podalpejskim krajobrazie, za sprawą pana Zygmunta rozległ się turkot kół fiakra, zapachniały ciastka u Maurizia, błysnęła szyba u Hawelki, a pod oknem Biblioteki Jagiellońskiej przebiegł charek starego Estreichera z dzwonczkiem u szyi.

– A wiesz, że cię nawet lubię – rzekł pan Zygmunt – chociaż masz jedną wielką i niewybaczalną wadę: nie jesteś z Krakowa.

Błąd natury, w rzeczy samej, nie do naprawienia. [...]

Po wojnie, gdy zadebiutowałem na emigracji, otrzymałem telegram, który po dziś dzień uważam za świadectwo postrzyżyn literackich, prawo jazdy na Pegazie. Zawierał on jedno zdanie: „Mów mi wuju. Zygmunt Nowakowski”. Nic dziwnego, że co tchu pobiegłem na pocztę by oddepeszować: „Dziękuję – Roch Kowalski”.

I tak mimo różnicy wieku, a chyba i zapatrywań, zaczęła się nasza zażyłość serdeczna. [...]

Z przytułku dla pisarzy emigracyjnych na Finchley Road do „Zygmuntowniki” na Hollycroft Avenue był krok tylko. Wystarczyło podejść pod górę i zastukać do drzwi broniących przez nadpsa, wilczura Rony’ego, który pod wpływem dłuższego obcowania z panem Zygmuntem bodaj i szczekał już po krakowsku, z wyraźnym staccato. Chodzenie z panem Zygmuntem po zachodzie słońca na piwko należało do uświęconego tradycją kilku lat rytuału. Oberżysta witał nas z uśmiechem, wywijając ściereczką nad głową. [...]

– Straszne to angielskie piwko – narzekał pan Zygmunt. – Trucizna! No, to duszkiem, żeby kwas się nie przykleił do języka! Dżinem trzeba to paskudztwo spłukać!

Pan Zygmunt w swoim żywiole: kilka życziwych twarzy przy stoliku, szmer podziwu, kaskady śmiechu. Już go uskrzydliły skojarzenia fonetyczne. Już wpadł w trans kalamburzysty. Jedna eksplozja pamięci zapala drugą. Detonacja kolorowych fajerwerków. Reakcja łańcuchowa, znamienita dla urodzonych gawędziarzy i rozweselaczy towarzystwa. Szkoda, że nie miałem pod ręką notosu do stenografowania lub magnetofonu, by ocalić te cudacudeńka przed zapomnieniem. Któż umiał barwniej opowiadać od niego? Któż potrafił umiejętniej posługiwać się pauzą artystyczną? Któż zręczniejsz ustawił anegdotę ku puencie? [...]

Z widownią radził sobie znakomicie. Porywał ją, zagrzewał, wzruszał, hipnotyzował, istny Orfeusz-pogromca piekielnej zwierzyń. Z pojedynków słownych z reguły wychodził zwycięsko. Nawet mistrza *Zwischen-*

rufu Strońskiego przeszył kiedyś na literackim sejmiku floretem jednego zdania. I tylko raz poniósł porażkę, do której się zresztą chętnie przyznawał.

– Na kolanach pielgrzymować będziemy do ziemi ojczyjstej! – zawołał patetycznie na patriotycznej wieczornicy po Yorkiem.

– Samochodem wygodniej! – przerwał mu jakiś pielgrzym zmotoryzowany.

Innego znów razu pan Zygmunt, radiogawędziarz nieznównany, padł ofiarą chochlika w eterze: zdarzyło się, że przemówienie wigilijne zakończył zdaniem: „W tę oto noc świętą nawet zwierzęta ludzkim mówią głosem”. W chwilę potem speaker oznajmił słuchaczom: „Usłyszeli państwo Zygmunta Nowakowskiego”.

Żart, anegdota, facecje – to oczywiście tylko część prawdy o tym bogatym zjawisku, które przez tyle lat promieniowało na nas wszystkich. Pan Zygmunt nie bez racji cieszył się opinią jednego z najdowcipniejszych pasażerów na naszej emigracyjnej tratwie. [...]

Felietony pana Zygmunta zachwycały czytelników przed wojną, w Polsce, i po wojnie, na emigracji, temperamentem i humorem. A jednak nie trzeba za bardzo dowierzać wesołości rycerzy ze „słońcem w herbie”, tym barwnym armiom w rodzaju *tutto nel mondo é burla*. Pod maską radości życia niejednen Amicus ukrywał swe żale i smutki. Pana Zygmunta, poza chrońniczną tęsknotą do Krakowa i troską patriotyczną, nękało pogłębiające się z roku na rok poczucie, że mógł osiągnąć w literaturze więcej niż osiągnął. *Przylądek Dobrej Nadziei czy Rubikon*, żeby wymienić dwie pełne wdzięku i prostoty książki, które przyniosły mu rozgłos, określiły charakter jego twórczości, dały miarę talentu i możliwości.

Już niczego większego nie napisać – skarżył mi się przez kilkanaście ostatnich lat swego życia. – Stałem się wyrobnikiem. Rozmieniłem się na drobne. [...]

Dwóm bogom służyć nie można: literaturze pięknej i twórczości użytkowej. Jakże niebezpieczny jest romans pisarza z gazetą! Ani się nie spostrzeże, kiedy taśma Remingtona owinie mu szyję jak lasso. Utalentowanych ludzi pióra żaden kraj nie ma za wielu. A już u nas dość chętnie opala się izbę mahoniem. Gorzej: mahoń sam pcha się do pieca.

Pan Zygmunt, człowiek talentu i znacznej erudycji, wykonywał nieraz na ochotnika zadania, które śmiało można było powierzyć szczęśliwym zdobywcom małej matury na kursach korespondencyjnych. Wreszcie zaorany, do szybkostrzelnego Remingtona przykutą, preceptor, społecznik, jałmużnik, prelegent, wędrowny mówca rocznicowy, nie miał w końcu czasu na napisanie kilku kartek prozy „dla siebie”. (Nie napisał pamiętnika, do czego go namawiałem.) [...]

Ileż tedy różnych globusów, ciężkich lub pustych w środku, dźwigał na sobie nasz Atlas niestrudzony! Od poniedziałku do niedzieli dwoił się i troił – z myślą o ogóle. Na zegarek nie spoglądał, gwarnej gromady nie unikał. W czasie jubileuszu, obchodzonego przed rokiem w Londynie z przepychem święta narodowego, samo wyliczenie zasług, jakie pan Zygmunt poniósł w dziedzinach niezwiązanych z literaturą i teatrem, zajęło dobre dwie godziny. Był działaczem towarzystwa przyjaciół dzieci, opiekował się zwierzętami



Zygmunt Nowakowski przy pracy w swoim krakowskim mieszkaniu, 1939 r.

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

i dziennikarzami, prezesował honorowo krakowskim piłkarzom. (Znane jest jego powiedzenie, które zapewne wejdzie do emigracyjnego Plutarcha: „Po śmierci pochowajcie mnie na polu przedbramkowym Cracovii. Jeszcze po śmierci bronić jej będę!”) Nie opuszczał meczów bokserskich w hali na Zwierzynieckiej. Wieść gminna niesie, że to właśnie jego okrzyk od gromu potęgniał się: „Chrostek, bij!” ocalił kiedyś krakowskiego pięściarza przed porażką.

Prezesem „od zwierząt” też nie był malowanym. Są na to dowody. Konsul Poznański stwierdził publicznie, że psy angielskie na londyńskim Hampsteadzie, odkąd dowiedział się, że w gościnnym domku pp. Poznańskich mieszka sam Zygmunt Nowakowski, były prezes towarzystwa opieki nad zwierzętami, kłaniały się jego wilczurowi na spacerze. [...]

Nie jestem następcą Cezara – miał mawiać Augustus – to Cezar był moim

poprzednikiem. Czym następcą był pan Zygmunt? A raczej: kim byli jego poprzednicy? Miał w sobie coś z Boya (nie lubili się) i niemało z Makuszyńskiego. Wyspiańskiego wielbił gorliwiej niż kleryk prymasa. Ale kreował się najchętniej na protoplastów odleglejszych, tych z lat Wielkiej Emigracji. Gdy mówił o T. T. Jeżu głodującym w Londynie, okulary zachodziły mu parą. [...]

Zaprawdę, nagał się, naspołeczniował i wypisał nasz przyjaciel co niemiara, ale gdyby nawet zostawił po sobie jeszcze kilka utworów literackich o trwalszej wartości, w niczym by to już nie wpłynęło na podniesienie jego wysokiej rangi, jaką mu przez aklamację przyznało społeczeństwo na emigracji, podświadomie do szamana tęskniące. Wielbiciele, a imię ich legion, wężyki generalskie przyszyli mu do miękkiego kapelusza marki Borsalino.

Dokończenie na str. 5

Zygmunt Nowakowski

Wielki malarz Matejko...

„[...] Wielki malarz Matejko malował płótna olbrzymie, w których za czasów niewoli odtwarzał Polskę wolną. Rozebraną przez zaborców, podzieloną na trzy części, Matejko łączył w całość potężną. Martwą wskrzeszał. Biedną, szarą albo i nagą odziewał we wszystkie blaski, barwy i tęcze. Bezbronnej dawał do ręki miecz. Był w malarstwie tym, czym trójca trzech wieszczów – Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński – w poezji, czym Fryderyk Szopen w muzyce. Gdy rozeszła się po Krakowie nowina, że Matejko maluje króla Batorego, miasto oszałało z niecierpliwości. Ludzie nie mogli się doczekać otwarcia wystawy. Doprowadzeni do białej gorączki wyłamali potężną bramę Pałacu Spiskiego. Gdy uderli się do sali, zatkało im dech. Zaniemówili. Król patrzył na nich! Batory! Nieruchomy, siedzący na majestacie, malowany, ale groźny. Batory! Ten właśnie, który na sejmie powiedział, że nie jest i nie chce być królem malowanym. Może to najpiękniejszy obraz Matejki, ten *Batory pod Pskowem*. Wydaje mi się, że w tym szturmie do bram Pałacu Spiskiego wyładowała się nie tylko chęć ujrzania nowego obrazu Matejki, ale i wielka miłość do Batorego. Potężny król! [...]”

Zygmunt Nowakowski, *Wieczory pod dębem*, Londyn 1966, s. 217–218

Kraków w czasie wojny nie zdobył palmy męczeństwa i niektórzy rodacy biorą mu to niemal za złe. Spotykamy się dosyć często z krytyką Krakowa, gdyż podobno zachowywał postawę zanadto bierną i gorsząco spokojną, nawet arcylojalną wobec Niemców, oraz niechętną i niegościnną wobec Polaków wypędzonych z innych części Polski, a chroniących się pod skrzydła Wawelu. Krakowianie, „goli i inteligentni” jak ich określił Boy, skąpili exulom chleba i wody. Nie wiem ile w tym prawdy, ale drażnią mnie te opinie i bardzo bolą. Właściwie w zdaniach pewnych Polaków zdaje się jakby brzmieć żal, że ta stolica Polski, stolica nigdy *de jure* niezdetronizowana, nie zrobiła konkurencji stolicy *de facto* i nie zagrzebała się we własnych ruinach. [...]

Świetne są artykuły Ferdynanda Goetla, choć nie wiem dlaczego robi on z siebie warszawiaka na przekór temu, że w Krakowie do szkoły chodził, że mówi do dziś po krakowsku, więc staccato, że wreszcie otrzymał na chrzcie imię raczej galicyjskie, właściwie c.k. austriackie. W jednym z tych artykułów, doprawdy kapitalnych, pisanych – w przeciwieństwie do reportaży innych autorów – z niezwykłą dojrzałością, ze spokojem, z gorzką sordynką, [...] wyłowić można akcenty nietajonego żalu pod adresem Krakowa i mieszkańców *totius Poloniae urbis celeberrimae*¹. Niemniej ten Edyp, Ferdynand Goetel, stara się znieczulić swój sąd pisząc np. o Krakowie z doby bezpośrednio po upadku powstania warszawskiego: „I nie boczymy się, gdy w święta Bożego Narodzenia 1944 zapalono w mieszkaniach krakowskich choinki, a na Rynku wokół miejsca, gdzie stał pomnik Mickiewicza, rozstawiono tradycyjne szopki, zaś w Sukienicach żołnierze niemieccy, zmieszani z ludnością polską, kupowali «Andenken» z Krakowa, pudełka malowane i lalki w krakowskich strojach” („Lwów i Wilno”, nr 144). Pisze: „...nie boczymy się”, ale sam trochę się boczny.

Nie mam zamiaru polemizować, mam zamiar natomiast, nim przejdę do rzeczy właściwej stwierdzić, że nic łatwiejszego, niż zatracić tradycję i to nawet najstarszą. Przecie np. hejnał zamilkł w Krakowie na lat kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt w XIX wieku i uskrzeszono go z martwych nie bez trudu, dzięki zapisowi niejakiego Krzyżanowskiego. To samo groziło dwukrotnie Lajkonikowi zwierzyńckiemu, raz na przełomie obu wieków (nowy strój w miejsce starych, zniszczonych zupełnie łachów skomponował Wyspiański), a raz drugi po tamtej, tzw. wielkiej wojnie, która choć trwała tylko cztery lata, przecie o mało nie zabiła Lajkonika, a właś-

¹ *Cracovia totius Poloniae urbs celeberrima* (łac.) – Kraków, całe Polski miasto najślawniejsze. Określenie ze słynnego medallionu Matthausa Meriana Starszego z 1619 r., przedstawiającego panoramę miasta.

Żli krakowianie

Zygmunt Nowakowski



Scena z przedstawienia *Krakowiacy i Górale* w reż. Zygmunta Nowakowskiego, Teatr im. Juliusza Słowackiego, 1936 r.

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

ciwie doszczętnie wypęliła tradycyjną szopkę krakowską. Natrudziło się wielce Towarzystwo Miłośników Krakowa, natrudzili się ludzie prywatni, by uratować szopkę, tę czarującą *com-media dell' arte*, lecz nie powiodło się to w stu procentach. Ocaliliśmy raczej tylko samą dekorację; aktorów, więc murarzy krakowskich, już nie udało się zachęcić i zorganizować. Szkoda, wielka szkoda!

Lecz to tylko nawias. Mysłę o Krakowie i o Rynku krakowskim, na którym stoją teraz choinki zwane przez oficerów Rokossowskich zapeune „jołkami”. I ci oficerowie zmieszani z ludnością cywilną także kupują „podarki na pamiat”. Niech kupują. Ładnie musi być na niezburzonym, całym jeszcze Rynku. Stoi tam las ogromny, zielony, śniegiem ocukrzony. [...] Andersen rozbił namiot pośrodku Rynku i opowiada najpiękniejsze bajki, których słuchają zimni, obojętni, nieczuli, niedobrzy, źli krakowianie. Dawniej byli inni, buntowali się, otrzymawszy zaś policzek nie nadstawiali drugiego, lecz imali się noża. Pieśń z drugiej połowy XV w. mówi: „A jacy to źli ludzie mieszczanie krakowianie”... Zabili magnata, Jędrzeja Tęczyńskiego, i jak powiada Długosz: „Pastwił się

lud jeszcze nad ciałem zabitego, wlokąc je z kościoła aż do ratusza kanałem ulicznym”...

Bardzo nie lubię gdy ktoś w mej obecności pyskuje na Kraków i mimo woli sięgam za kord. Kraków to jest ojciec. Jak powiada królewiać Lenartowicz:

*A znanie wy piosnkę żaków,
piosenka to gładka,
Dla Polaków ojciec Kraków,
a Warszawa matka...*

W innych warunkach wychowywała się matka, w innych ojciec, który ma pozycję wyjątkową w dziejach Polski, porozbiorowej w szczególności, gdyż ze wszystkich miast naszych najkrócej był pod obcym panowaniem. Austria miała Kraków od r. 1795, ale utraciła go już w czternaście lat później. Po bitwie pod Raszyńem ks. Józef wjechał w mury Krakowa. Zdarzyła się wtedy rzecz zabawna. Oto na warcie pod ratuszem stał jakiś zapomniany przez swój oddział macierzysty sierota – ostatni żołnierz austriacki czy może pruski. Już nie wiem, ale w każdym razie Niemiec. Stoi i stoi, a wojsko polskie dawno już w rogatkach. Mówią mu lojalni krakowianie, żeby wiał, że

nic nie wystoi, gdyż został w mieście sam jeden nie przymierzając jako ten palec. Przekupki, złe krakowskie przekupki, radzą mu: „Panie, bierz nogi za pas i wioł”. Niemiec, czy „głosu ludzkiego” nie rozumiał, czy też nie chciał narazić się na zarzut dezercji, czy też powodował się jeszcze jakimiś względami, dość, że jak stał tak stał. Nazywał się Poller. Został w Krakowie na zawsze i dał początek krakowskiej rodzinie a raczej dynastii Pollerów. Ostatnią z rodu, p. Pollerową, zwano powszechnie „babką Krakowa”.

Wracam jednak do cyfr. Zatem Austria w r. 1809 utraciła Kraków, który przez lat sześć następnych wchodzi w skład Księstwa Warszawskiego. Następnie, od kongresu wiedeńskiego Kraków stanowi samodzielną, przynajmniej z pozorów, Rzeczpospolitą aż do r. 1846. Gdy zliczymy te lata wyniknie z nich, że Kraków należał do Austrii w sumie 86 lat. Pierwszy z miast polskich 30 października 1918 wywiesił na swych murach biało-czerwone chorągwie. Może wypędzenie Austriaków było wyjątkową ławizną, ale Kraków umiał to załatwić z humorem, w sposób pełen temperamentu. Jeżeli polała się krew austriacka, polała się tylko z nosów.

Niektóre rzeczy przychodziły Krakowowi łatwo, śpiewając jak z płotka. Podczas konfederacji barskiej jeden ze złych mieszczan krakowskich Marcin Oracewicz, pasamonik z fachu, nie mając kuli guzikiem – od czego był ten guzik tai pieśń gminna – nabił strzelbę i położył trupem pułkownika rosyjskiego, w ślad za czym przerażeni bracia Słowianie odstąpili od oblężenia Krakowa. Rozmaici Rokossowscy mogą przeczytać każdej chwili tę dziwną historię wyrytą spiżem na marmurowej tablicy zdobiącej Barbakan. Może na czas ich pobytu w Krakowie lojalni mieszkańcy usunęli tę tablicę.

Lecz bywało w Krakowie rozmaicie. Na przykład w r. 1848 polała się krew polska i sporo jej było na bruku. Pięknie opowiada o tym wielka tragiczna Modrzejewska, która wtedy miała lat osiem. Świetny jest opis barykad zbudowanych m. in. z szaf, z materaców.

Na tych barykadach stały zimne, lojalne, ugodowe służące krakowskie, wyrażając żołnierzom austriackim i miotając najgorsze słowa. Gdy mała Modrzejewska rzuciła rano okiem na ulicę leżały tam trupy, m. in. jakiś dziesięcioletni chłopiec. W trzy dni później odbył się pogrzeb. Trumny nieśli nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Zygmunt bił na Wawelu, z którego trzy dni pierwej posypały się wcale gęsto kule. Jakie szczęście, że nie zburzyły np. kościoła Panny Marii.

W pół wieku później Kraków zdobył nie tylko bezkrwawo, ale wręcz lojalnie uzgórze wawelskie i pałac Zygmunta, wypędzając stamtąd również bezkrwawo żołnierzy austriackich. [...] Opuścili zamek zdobyty przez Kraków w drodze dyplomatycznej. Wawel po ich odejściu mówi jakby w rytm Zygmunta: „Otom jest wolny, wolny, wolny, wolny!”. Jakże się to stało? Cesarz Franciszek Józef od ugodowych a sprytnych krakowian i Galicjan otrzymał Wawel w podarunku na mieszkanie. Otrzymałszy zaś go przyszedł do wniosku, że nie wypada iżby w tej siedzibie królów polskich i królowych a m. in. rakuskich arcyksiężniczki były koszary. Lecz Wyspiańskiemu nie podobawała się ugodowa forma tej transakcji, to też przysolił krakowianom w [...] wierszu:

[...] *Nie upodlenie to, kto w walce pada,
czyli zwyciężon przemocą czy zdradą;
lecz ci, podobni do owczego stada,
co stopę cudzą na kark własny kładą...*

Gdyby mnie kto spytał, czy dobrze nam się działo pod rządami Najjaśniejszego Pana powiedziałbym, że za dobrze, że po prostu niebezpiecznie dobrze. Oto mieliśmy wszystkie pozory Polski, mieliśmy dziesięciordne atrybuty wolności, przy których łatwo było zapomnieć o Polsce prawdziwej i o prawdziwej wolności. Mieliśmy, jak mówi Konrad, „akcesoria i godła”. Symbolów Polski było aż nazbyt wiele, na każdym kroku, w życiu codziennym, na ulicy, niemal na bruku. Brakło rzeczy samej.

Cenzura austriacka właściwie nie istniała i każde jej zarządzenie dało się uchylić. Był to okres niczym nieskrepowanego gadulstwa. W tzw. Ujeżdżalni, inaczej „Pod Kapucynami”, odbywały się olbrzymie zgromadzenia, przeważnie socjalistyczne, którym kontrparę dawały manifestacje narodowe pod Mickiewiczem na Rynku. Boże, ilu mów wysłuchać musiał Mickiewicz! 1 maja gadali sami socjaliści z takim asem na czele jak wspaniały lew, Daszyński. 3 maja gadali socjaliści i narodowcy, i kto tylko chciał. Z ambony kościoła Mariackiego lub na Wawelu grzmiał ks. Bandurski, Ojciec Janicki i najlepszy z kaznodziejów, cichy Ojciec Anioł. Mówili swobodnie. Rzecz prosta przeciw Austrii.

Gdy w styczniu 1911 młodzież postępową (ach, ja wtedy byłem socjalistą, słowo honoru!) urządziła strajk i okupowała uniwersytet, wojsko austriackie stało przez cały dzień na mrozie, wejść do środka gmachu nie śmiejąc. Byliśmy panami u siebie w domu. Byliśmy niemal, niemal w Polsce. Przynajmniej tak się nam zdawało. Niby to w czytankach szkolnych figurowały opowiadania o Rudolffie z Habsburga, o Marii Teresie, o aktualnym cesarzu, ale przecie żaden szanujący się nauczyciel nie kazał nigdy czytać tych cklowych bzdur. Niby to w dniach uroczystych grano na chórze, przepiękny zresztą pod względem muzycznym hymn „Boże wspieraj”, ale nikomu nie śniło się śpiewać. *Nota bene* przekład tego hymnu na język polski był wręcz potworny, może celowo potworny, gdyż znajdowało się w nim takie zdanie: „Przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask”...

Dokończenie na str. 6

Zygmunt Nowakowski

Piękny jest ten Rynek

[...] Piękny jest ten Rynek krakowski, chociaż przez szereg ostatnich lat brakło na nim jednej rzeczy, którą ukatrupiono. Jak zawsze, zbrodni dokonał z właściwą sobie wyrafinowaną bezmyślnością magistrat, czyli pierogi leniwe. Może jednak ta rzecz ustanie z martwych. Mam na myśli słynną szopkę krakowską. Jeszcze do niedawna stały rządem wspaniałe szopki na linii A–B i można je było wynająć za psie pieniądze. Z Herodem, Herodową i diabłami. Przychodzili do domu. Ale przed kilku laty magistrat zabronił. Podobno dlatego, że rezultatem tych spektakli miały być kradzieże. Artyści przyszli, zaśpiewali i wynieśli się, wynosząc przy tej okazji rozmaite przedmioty. Zwłaszcza mieli predylekcję do łyżeczek srebrnych, co było rzeczą tym łatwiejszą, że z zasady wypuszczano ich przez kuchnię. Bardzo sprawiedliwie robili, biorąc za karę te łyżeczki. Teatru nie upuszcza się przez kuchnię, lecz frontowymi schodami, z parady.

Zresztą jest to wyłącznie winą tych domów, w których ginęły łyżeczki. Trzeba pilnować i koniec. Niech lepiej giną łyżeczki, zamiast żeby ginęła ta pieśń gminna! O ile zasadniczo całe podejrzenie nie jest kalumnią rzuconą na szopkarzy przez magistrat celem zatarcia śladów! Wadziło im to, że murarz struga figurki i śpiewa po domach. Że nie jest bezrobotny w zimie. A, sakramenckie...! [...]

„Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 356, 1931.

(Cyt. za: Z. Nowakowski, *Lajkonik. Wybór felietonów z lat 1931–1939*. Opracował H. Markiewicz, Kraków, 1975, „W lesie birnamskim”, s. 95–96)

EXTRA CRACOVIAM NON EST VITA

Dokończenie ze str. 3

Stał się autorytetem moralnym, sądem odwoławczym, ostatnią instancją. Emigracja nie jest więc złą przygodą: właśnie na obczyźnie jemu, byłemu felietoniście „Ikaca”, ulubieńcowi publiczności, husarskie wyrosły skrzydła. Nowakowski heroiczny, ba, w optyce wygnañstwa – wręcz monumentalny, objawił się sobie i innym po r. 1939.

Ceniono go, a nawet po cichu beatyfikowano, nie tylko za kulturę umysłu i serca wyniesioną ze świetnej jagiellońskiej wszechnicy, za polszczyznę niepokalanej czystości, za tę *essentia humana* i *essentia polona*, które tak pięknie sąsiadowały ze sobą w jego bogatej i różnorodnej twórczości, ale i za hardą, jędrną a rogatą, iście góralską duszę wiecznie czupurnego juhasa, za odrazę do brzydkiej choroby „konjunkturis” („Miłostkując z grzechem ugody, a diabłem się w końcu znosić będziecie” – Lelewel), za niezłomność aż do zaparcia się nogami w ziemię, za tę wielką, jakże szczerą i teatralną zarazem kreację, która sprawiała, że spoglądano na jego bujną i siwą czuprynę jak na pyszny pióropusz Cyrana de Bergerac.

Jakże przypadł rodakom do serca, gdy narażając się angielskiej cenzurze występował w czasie wojny w obronie Lwowa i Wilna, gdy na łamach „Wiadomości Polskich” protestował piórem przeciwko wyprzedaniu Polski przez sojuszników. Nazwano go w Kraju „budzikiem u barłoga emigracji”. Encyklopedia obdarzyła go przydomkiem „przeciwnika Polski Ludowej”. Dla ironistów był „Dzwonem Zygmunta”. Najbliżsi zaś (brat, który go

bezkutecznie namawiał do powrotu i pewna pani, która po nim w Krakowie płacze) nazywali go Muśkiem.

Widywałem go w akcji, jak gdyby w pierwszej linii okopów. A może w ataku na wiatraki? W miasteczkach angielskich i francuskich, w nieopalanym barakach do kostnic podobnych, w salkach parafialnych, pod gołym niebem. Przemawiał! Krzepił! Podnosił na ducha! Karcił ludzi słabego ducha! Dyrygował niewidzialną orkiestrą. Teatralny, matejkowski w geście, patetyczny! I tak serdecznie XIX-wieczny. Żeby kogoś gromić – powiada przyszłowie – trzeba mieć własną parafię. Parafię? Miał całą diecezję!

Pamiętam go na wiecu w Manchesterze, gdy domagał się wypuszczenia więźniów z łagrów sowieckich, a słowom jego, żarliwym a mocnym, wtórowało ślubowanie tysięcy ludzi ciężko i nieuleczalnie chorych na Polskę.

Pamiętam go, oratora wykwiutnego, jak w Instytucie Historycznym im. Sikorskiego, na tle sztandarów pułkowych spod Narwiku, Tobruku i Monte Cassino, przemawiał do wygnañców węgierskich po łacinie [...].

– Tak jest! – zawołał kiedyś, rozżalony, słysząc, że nazwano go „Emigrejtanem”. – Wcale się tego nie wstydję. Są sprawy, o których nie chcę i nie umiem dyskutować. I wtedy jestem pryncypalistą, maksymalistą, pieniaczem, fanatykiem, demagogiem, psem na sztandarze, czym chcecie!

Zaciętości przekonań nabierał z wiekiem. Jeszcze na ostatnim posiedzeniu jury „Wiadomości”, w namiętnej „bitwie o Gombrowicza”, podkreślał wyższość probierzy patriotyczno-obywatelskich nad artystycznymi. [...]

Odprowadzaliśmy kiedyś wspólnego przyjaciela. Pan Zygmunt przemówił nad jego grobem, wyciskając zebranym łzy z oczu. A kiedy wyszedł za bramę londyńskiego cmentarza, szepnął mi do ucha:

– Ciekaw jestem czy znajdzie się ktoś na emigracji, kto potrafi choć kilka słów sklecić nad moim grobem. Czuję, że sam bym to zrobił najlepiej.

To prawda. Najpiękniejsze przemówienie o panu Zygmuncie wygłosiłby tylko jeden mówca złotousty, mistrz powściągliwego patosu, bard sentymentalny, lirnik serdeczny, on sam – Zygmunt Nowakowski.

„Starość jest straszliwą, nieuleczalną chorobą – skarżył się w ostatnim liście – żal czegoś, psiakrew, żal, żal i jeszcze raz żal, ale coś tam chyba w życiu zrobiłem, jeśli nawet niewiele... Był czas, że wierzyłem w powrót do Krakowa”...

Tuż po Październiku rozeszły się po Krakowie pogłoski, że pan Zygmunt, emigrant nieprzejednany, przybywa w odwiedzin do swego miasta. Telefonowano nawet do niektórych instytucji z prośbą o zarezerwowanie biletów na jego wieczór autorski. Kiedy zapytywałem pana Zygmunta, co o tym sądzi, tak mi odpowiedział:

– Po pierwsze: do własnej ojczyzny nie jedzie się jako turysta. Po wtóre: ja nie mam co do Krakowa wracać, gdyż nigdy z niego nie wyjeżdżałem.

A jednak tę trumnę należało ponieść na Skałkę, a nie na londyński cmentarz o dziwnej nazwie Fortune Green.

Jeśli prawdą jest, że najpiękniejsze z miast Polski umie się wyudzięczać miłością za miłość i wiernością za

wiernością, krakowska powinna przygarnąć go ziemia.

O Krakowie, raju utraconym, mówił, pisał, myślał i śnił po nocy. O nim śmiał się i o nim płakał ukradkiem. O Krakowie, miłości pierwszej i ostatniej, szeptał jeszcze na łożu śmierci, do ostatniego tchu wierny „lajkonik na wygnaniu”.

Gdyby umarł u siebie, pod domowym niebem, a nie na obcej ziemi, pół miasta żegnałoby go z żalem głębokim. Kraków pogrzebami słynący! Chorągiew żałobna na placu Mariackim. Przepasane kirem fotografie w witrynach księgarni. Minuta milczenia w Teatrze im. Słowackiego. A na pożegnanie położono by mu na piersiach gałązkę rozmarynu, pozdrowienie z na pół już mitycznych Oleandrów.

Stało się inaczej. Myślę jednak, że w ten smutny październikowy piątek, gdy garstka najbliższych odprowadziła go do bram obcego cmentarza, do krakowskich odprowadziła go rogatka. Ciało pochowano w Londynie. Duch spoczął w Polsce.

Zamknięte oczy pana Zygmunta widzą niebo nad niebami: wieże kościoła Mariackiego, Sukiennice w Rynku, znajome ulice, domy, dachy, drzewa i wstęgę Wisły, a w górze Wawel słońcem wyłożony.

I słuch go nie myli. Ucho, do obcej przyłożone ziemi, słyszy wreszcie tętent od krakowskiego gościńca. I hejnał radości na wieży. Pan Zygmunt, krakowianin doskonały, wraca do miasta. Nad trumiennym wiekiem koncert się rozkołysał radosny. Dzwony krakowskich kościołów biją mu na przywitanie. Dudni Zygmunt królew-

ski, co chmury spiżem rozprasza. Huczy Florian na Kleparzu. Bije pół-Zygmunt na wieży Mariackiej. Rozkołysał się Jacek u Dominikanów. Zadzźwięczały Boże Ciołki na Kazimierzu. Zagrały dzwony jezuickie na Wesołej. Zatrzepotały sygnaturki na Skałce i u Sercanek. Grają, huczą, dudnią, w metal biją! Na Piaskach, na Podgórze, na Dębnikach...

A z całej tej powitalnej muzyki najmiłszy mu dzwon z kościoła dzieciństwa, ten od Norbertanek. Dźwięk tkliwy i kojący. Kładzie się na zamkniętych oczach. Snym niespełnione z czoła ściera. Jak ręka matki.

(1963)

Tadeusz Nowakowski (ur. 1917 r. w Olsztynie, zm. 1996 r. w Bydgoszczy) – literat, publicysta, wieloletni dziennikarz Radia Wolna Europa. Spod jego pióra wyszły m.in. powieści *Obóz Wszystkich Świętych* (Paryż 1957) i *Wiza do Hrubieszowa* (Londyn 1979). W 1990 r. był inicjatorem powstania i pierwszym prezesem Światowego Związku Bydgoszczan. Rząd RP na uchodźstwie odznaczył go orderem Polonia Restituta V klasy. W 1993 r. Prezydent RP nadał mu Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Dwa miasta szczególnie bliskie pisarzowi: Olsztyn (1991) oraz Bydgoszcz (1993) obdarzyły go godnością Honorowego Obywatela. W 1996 r. w bydgoskim kościele pw. Świętych Polskich Braci Męczenników otwarto Izbę Pamięci Tadeusza Nowakowskiego. W 1999 r. przy Starym Rynku 3 w Bydgoszczy umurowano poświęconą mu tablicę pamiątkową.

Powyższy tekst ukazał się jako wspomnienie pośmiertne w tygodniku „Wiadomości” nr 49 (923), Londyn, 8 grudnia 1963 r. Przedrukowany został w zbiorze *Aleja dobrych znajomych*, Londyn 1968, s. 63–76.





air tours
cracow

Sprzedaż biletów lotniczych
Egzotyczne wycieczki
Ubezpieczenia turystyczne

Biuro Podróży AIR TOURS CRACOW
ul. Józefa Kałuży 1, 30-111 Kraków
Galeria Handlowa
Stadionu MKS Cracovia

tel. +48 12 432 10 90
fax +48 12 432 10 91
mobile: +48 605 905 814
e-mail: bilety@747.pl
www.747.pl

Kraków był dla niego Żli krakowianie

centrum świata

Od kilkunastu miesięcy trwają starania, by przyszedł rok obchodzony był w Krakowie jako Rok Zygmunta Nowakowskiego

Przyłówek pamięci

W ubiegłym stuleciu był żywą legendą, mówiono o nim „człowiek – instytucja”. Dziś trudno pojąć, że Nowakowski, który był m. in. prezesem Związku Artystów Scen Polskich, wiceprezesem KS Cracovia, działał w Krakowskim Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami, występował na scenie Teatru Ludowego, a także był aktorem, dyrektorem oraz reżyserem Teatru im. Juliusza Słowackiego, został niemal zupełnie zapomniany.

Z inicjatywy pracowni historycznej „Małe Dzieje” zaczęto wydawać bezpłatne czasopismo poświęcone dokonaniom wielkiego krakowianina. – *Nie ustajemy w staraniach o powrót Zygmunta Nowakowskiego do świadomości i pamięci mieszkańców Krakowa. W najnowszym numerze „Przyłódka Dobrej Nadziei” pokazujemy go jako człowieka teatru, któremu poświęcił wiele lat życia – zwracając uwagę pomysłodawcy Roku Zygmunta Nowakowskiego.*

W ocenie kierującej Archiwum Artystycznym Teatru im. J. Słowackiego, Nowakowski był nie tylko niezłym aktorem i profesjonalnym reżyserem, ale także autorem superprzeboju dramatycznego międzywojnia – *Gałązki rozmarny*. Jako reżyser zrealizował natomiast największy sukces frekwencyjny: *Krakowiaków i Górali* Bogusławskiego – spektakl, na który zjeżdżała w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku cała Polska. – *Nowakowski był tym dla Krakowa, czym jest trębacz dla wieży mariackiej. On także co godzinę ogłaszał światu, że Kraków jest najpiękniejszy i najważniejszy, że to miasto trzeba podziwiać, warto poznawać i wypada kochać. Kraków był dla niego centrum świata. Pół życia obnażał słabości tego miasta. Drugie pół wzmacniał pamięć o nim – mówi dr Diana Poskuta-Włodek, teatrolog i historyk teatru.*

Kierownik Działu Marketingu Teatru im. Słowackiego przekazał nam, że instytucja ta bez wątpienia będzie wspierała wszelkie inicjatywy mające na celu przywrócenie pamięci o Nowakowskim. – *Planujemy w przyszłym roku poświęcić jeden z Salonów Poezji czasom i epoce Zygmunta Nowakowskiego. Był on*

przecież autorem dramatów i felietonów, które należy przypominać – powiedział Andrzej Czapliński. Dodał, że teatr w swoim archiwum posiada również rękopisy i listy wybitnego krakowianina, które można byłoby zaprezentować publicznie, na przykład na wystawie afiszy teatralnych spektakli, w których grał Nowakowski.

Trud przywracania...

– **Gdy słyszysz Pan nazwisko Zygmunta Nowakowski, co Pan myśli?**

Paweł Chojnacki: – Myślę o wielu rzeczach, gdyż był osobą wielowymiarową. Jest przeciwieństwem tak rozpoznanej dzisiaj postawy wąskiej specjalizacji. Określenia „człowiek renesansu XX wieku” czy „człowiek-orkiestra” znajdują w jego przypadku pełne uzasadnienie. Na każdym z pól, na których był aktywny pozostawił samodzielny ślad. Nigdy dość wymieniania tej długiej listy: pisarz, felietonista, aktor, reżyser, dyrektor teatru, radiowiec, doktor filozofii, historyk literatury, krytyk, działacz sportowy i społeczny, autor książek dla dzieci i młodzieży, obrońca praw zwierząt... A w tragicznych czasach wojny i niewoli komunistycznej – głos sumienia niezłomnej emigracji. Wbrew pozorom mnie ta lista nie przytłacza, miał w sobie lekkość, talent, był – można powiedzieć – „multimedialny”.

– **Dlaczego Kraków wyparł z pamięci tak znamienitego mieszkańca?**

– Krakowowi zabrano Nowakowskiego. To zemsta za jego postawę podczas wojny i po niej.

– **Co do tej pory udało się zrobić by przywrócić pamięć o Nowakowskim?**

– Działania prowadzimy od ponad roku. Zyskaliśmy przychyłność instytucji, które swoją osobą łączą: „Dziennika Polskiego” jako spadkobiercy

tradycji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, Teatru im. J. Słowackiego, Cracovii, Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, ale także Muzeum Historycznego Miasta Krakowa czy Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Cieszymy się poparciem dwóch Rad Dzielnic – Zwierzyńca i Starego Miasta – z którymi był szczególnie związany. Pilnujemy sprawy placu zabaw jego imienia na Plantach, wydaliśmy trzy numery pisma „Przyłówek Dobrej Nadziei”, za naszą sprawą kilkakrotnie podczas meczów Cracovii emitowano kultowy fragment jego audycji z Wolnej Europy.

Zachęciliśmy, aby turniej dziecięcych drużyn piłki nożnej miał go za patrona. Dzięki naszej aktywności o Nowakowskim zaczęto w Krakowie więcej mówić. Zainspirowaliśmy Muzeum Historyczne i Teatr im. J. Słowackiego do organizacji wydarzeń jemu poświęconych w 2012 roku, w 50. rocznicę śmierci.

– **Dlaczego inicjatywa Roku Zygmunta Nowakowskiego natrafiła na opór w mieście?**

– Przykro to powiedzieć, ale trzeba: ani prezydent, ani przewodniczący Rady Miasta nie znaleźli dotąd czasu na spotkanie, podczas którego moglibyśmy przedstawić założenia projektu Roku i znaleźć formułę współpracy. A zapas czasu, który mieliśmy na początek inicjatywy powoli się kończy. Nie załamujemy jednak rąk. Powrót Zygmunta Nowakowskiego do Krakowa to niezwykła przygoda, chociaż jednocześnie ciężka orka. Niejednokrotnie na ugorze...

Marcin Warszawski

Artykuł ten powstał na podstawie tekstów autora opublikowanych na łamach „Dziennika Polskiego” w Krakowie: *Przyłówek pamięci*, 26.04.2012 i *Trud przywracania pamięci*, 2-3.05.2012.

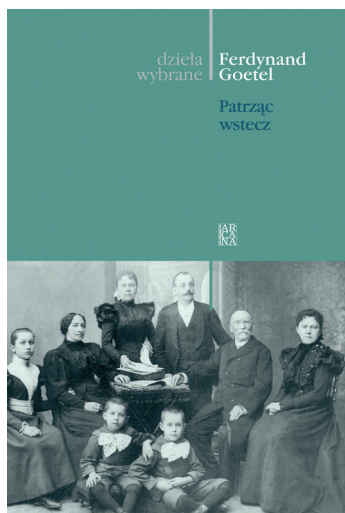
Zygmunt Nowakowski

Oczywiście

„[...] Oczywiście, cały świat schodzi na psy. Ale Kraków robi to rekordowo. [...] Na punkcie Krakowa wyznają komunizm, jestem zdecydowanym bolszewikiem i twierdzę, że nie ma tu ani prywatnej, ani miejskiej, ani innej własności. Każdy kawałek starych murów, każdy kasztan na Plantach i każdy gołąb wygnany z kościoła Mariackiego jest pod ochroną nas wszystkich. [...]”

„Ilustrowany Kurier Codzienny” nr 61, 1931.

(Cyt. za: Z. Nowakowski, *Lajkonik. Wybór felietonów z lat 1931–1939*. Opracował H. Markiewicz, Kraków, 1975, „Pierogi leniwe”, s. 44)



Patrzac wstecz

– barwny, pełen humoru i nostalgii pamiętnik. Autor wspomina młodopolski Kraków, lwowską młodość, swoje fascynacje Piłsudskim, studia w Wiedniu i gorzkie lata przeżyte w Warszawie, tuż przed wybuchem I wojny światowej. Książkę można kupić u wydawcy – www.arcana.pl lub bezpośrednio w siedzibie wydawnictwa, ul. Dunajewskiego 6, Kraków.



Dokończenie ze str. 4

Na scenie teatru krakowskiego mógł swobodnie pracować chusty upiór Szeli, a cenzura prosiła tylko o to, by nie miał na piersiach autentycznych orderów austriackich. Wobec czego miał najbardziej autentyczne pod słońcem.

Prawa nasze rosły, prawa zaborcy malały. Była to niemal niepodległość. Wojskowe orkiestry austriackie dające koncerty na Plantach tylko o to, by nie omieszkali nigdy okraszyć ich wieńcem pieśni polskich, kończonym sakramentalnie „Jeszcze Polską”... Pozory były tak łudzące, że dzięki nim zapomniało się o fakcie niewątpliwym, mianowicie o tym, że nie mieliśmy państwa. Wystarczały nam wspomniane „akcesoria i godła”. Groziło poważne niebezpieczeństwo.

Co prawda, gdy szkicuję z grubsza psychologię złych krakowian muszę stwierdzić, że naród ten może niesłusznie cieszyć się opinią sybaryty skłonnego tylko do kompromisów. Krakowianie bywają krewcy. Gdy w r. 1903 kardynał Puzyra, książę biskup krakowski, skompromitował się zgłaszając w imieniu Austrii veto przeciwko wyborowi Rampolli na papieża, gdy taką hańbą okrył Kraków, wtedy, choć policja broniła pałacu, posypały się szyby. Miałem na sobie mundur gimnazjalisty i dwa srebrne paski, a do dziś pamiętam ten krzyk, który się odezwał, krzyk oczywiście po łacinie. Jakże by inaczej? Przecież to było w Krakowie! Wołano „Pereat? Puzyra!”... Drugi raz usłyszałem ten krzyk w kilka lat później, gdy Puzyra nie pozwolił wprowadzić Słowackiego na Wawel. Słyszę do dziś krzyk i słyszę brzęk szyb.

Od Krakowa niedaleko do Wadowic, które, jakże niesłusznie ośmieszył Zagadłowicz. W r. 1906 odbył się tam proces przeciwko Wandzie Krahelskiej, która rzuciwszy bombę na generał-gubernatora Skałona schroniła się do Galicji. Cały Kraków, łącznie z „Czasem” żądał jej uwolnienia. Aby nadać sprawie mniej rozgłosu, aby nie dopuścić do jakichś manifestacji patriotycznych, aby – może – mieć większy wpływ na sędziów przysięgłych rekrutujących się spośród łyków wadowickich, Austria przekazała sprawę sądowi w tym miasteczku, będącym jakby przedmieściem Krakowa. Rezultat? Uniewinniona jednogłośnie. Kwiaty, owacje i szczery, powszechny żal do oskarżonej, gdyż nie trafiła Skałona...

Ale, przeskoczywszy tych kilka mil wracam z Wadowic do Krakowa i do tematu. Całą treść narodu przesłaniały nam manifestacje narodowe, którym nie było końca pod Wawelem. Władze austriackie pozwalały studentom szkół średnich urządzać kilka razy do roku wielkie manewry wojskowe. Była to zabawa w wojsko, w wojsko polskie. Co prawda Piłsudski już wtedy był w Krakowie mieszkając w małej, ubogiej kamieniczce „na Szlaku”. Dziwna, wręcz wróżebna jest nazwa tej ulicy, z którą niewątpliwie wiąże się „szlak kadrówki” złączonej na śmierć i życie z tym chronicznym, zimnym jak lód Piemontem polskim – Krakowem. Pewien zły mieszkanin krakowski, Satalecki, masarz z fachu, niezający pono trudnej sztuki pisanie, a zaopatrujący w szynkę i w bosko smaczną kiełbasę krakowską nie tylko bliski Wiedeń, ale stosunkowo daleką Australię, dał anonimowo sto tysięcy koron (suma na owe czasy olbrzymia), by wspomóc szaloną, wariacką inicjatywę Piłsudskiego.

Krakowianie mają jedną ogromną wadę czy lukę: obca im jest wszelka

konspiracja. Nigdy jej nie potrzebowali. Bo i po co? W jakim celu, skoro wszystko im było wolno przez 86 lat przebytych w lekkim jarzmie austriackim. Konspiracja? No, trafiały się czasem jakieś odosobnione wypadki, np. na Plantach, niedaleko uniwersytetu stał sędziwy kasztan (zwała go dopiero burza w noc poprzedzającą pogrzeb Piłsudskiego), a na tym kasztanie czyjaś ręka wyrwała nazwisko szpicla austriackiego, którego w okresie powstania styczniowego zabił niejaki Stankiewicz, wuj Wyspiańskiego. O tym, kto był zabójcą wiedziało całe miasto, nie wiedziała policja. A może tylko udawała, że nie wie? Udawała na pewno, że nie wie jakim sposobem Kraków umiał wykradać i kryć powstańców wiezionych środkiem miasta przez Austriaków. Dużo mogłyby o tym powiedzieć bramy rozmaitych domów przy ul. Grodzkiej albo Poselskiej.

Ale na ogół miasto Bałuckiego i Matejki konspirować nie umiało. Niewątpliwie ogromna wada, która musiała wystąpić w całej okazałości podczas okupacji niemieckiej. Tego nie można wyuczyć się w szybkim czasie. Wiersz Mickiewicza „Do matki Polki” nigdy nie miał zastosowania w Krakowie. Poza tym sądzę, że Kraków zetknąwszy się po raz pierwszy ze straszliwym barbarzyństwem najeźdźców musiał być oszołomiony. Może próbował taktyki kunkatorskiej, dyplomacji, wybiegów. Nie wiem.

Zarzut niechęci wobec bezdomnych Polaków odrzucam jako niegodny, i tej sprawy nie mam zamiaru poruszać. Raduję się natomiast myślą, że dzisiaj Kraków stoi cały, nienaruszony, piękny pięknoscą, która należy do całej Polski, nie będąc własnością partykularną złych krakowian. [...]

Te pałace, bramy, baszty, podniosłe wieże, ten Wawel, wszystko to ostało się, chwała Bogu Najwyższemu. Sądzę, że ostał się i *genius loci*, ten mianowicie *genius loci*, który sprawił, że w okresie ugody i kompromisu właśnie z Krakowa padło hasło Polski całej, lelewelowskiej, w najrozleglejszych granicach. Hasło to padło – *risum teneatis?* – z pożał się Boże Rady Miejskiej Stołeczno-Królewskiego (nie „cesarskiego”) Miasta Krakowa w r. 1905, która uchwaliła, „...aby we wszystkich szkołach średnich i we wszystkich szkołach ludowych Gminy, w korytarzach tychże szkół lub w ogóle w miejscu widocznym i dostępnym umieszczona była i rozwieszona mapa całej Polski z uwidocznieniem Krakowa, jako państwa stolicy historycznej”.

Zgłosił ten wniosek pewien radca miejski, który stale występował przeciwko ugodzie oraz przeciwko „akcesoriom i godłom”, przeciwko symbolom i czczym manifestacjom, a domagał się rzeczy samej. Domagał się, byśmy zaniechali myśli o męczeństwie niepotrzebnym, o poświęcaniu się dla innych. Tenże radca miejski włożył w usta jednej ze swych wyimaginowanych postaci słowa:

[...] *Niech idą w zapomnienia Niewoli gnuśne pęta.*

...

*Niech się królestwo stanie nie krzyża, lecz zbawienia.*⁴

„Wiadomości” nr 51/52 (194/195), Londyn, 25 grudnia 1949

³ *Risum teneatis* (łac.) – powstrzymajcie się od śmiechu.

⁴ Wypowiedział je Konrad w *Wyzwoleniu* Stanisława Wyspiańskiego.

² *Pereat* (łac.) – Niech zginie, precz!

Zygmunt Nowakowski

Ofiara Wandy

(fragment powieści *Przylądek Dobrej Nadziei*)

Bolek usiadł grzecznie przy oknie i zaczął czytać, to znaczy, że stało się coś niedobrego. Bo jeżeli Bolek zabrał się do książki, to już było pewne, że albo rozbił sobie głowę czy też spadł z huśtawki. Książka w ręku Bolka mogła także oznaczać pożar. Zawsze w pięć minut potem, jak Bolek zaczął czytać, przychodził ktoś ze skargą.

Tym razem Bolek z Jankiem utopili mnie w stawie, ale to odkryło się dopiero w godzinę później. Na razie mama, widząc Bolka czytającego, zaczęła śledztwo od zwykłych słów:

– Bolek, powiedz od razu, co się stało?!

Bolek, naturalnie, odpowiedział, że nie wie o niczym i dodał, że ani Jan-ka, ani mnie od obiadu nie widział. Wobec tego mama była już zupełnie pewna, że coś się stało. I rzeczywiście, w tej chwili weszła do pokoju żona ogrodnika, mówiąc, że najmłodszy panicz się utopił. (Najmłodszy to właśnie byłem ja.) I kapelusz pływa po stawie.

A stało się to tak; mieszkaliśmy wtedy w nowym mieszkaniu. Na przedmieściu, daleko. W takim starym domu, który nawet ludzie nazywali pałacem. Ale to nie był wcale pałac. Babcia mówiła, że to rudera. A przeprowadzaliśmy się bardzo często. Mama zawsze narzekała, że każda przeprowadzka to ruina. Ale my okropnie lubiliśmy, jak się pakowało

rozmaite rzeczy, zdejmowało obrazy ze ścian, a potem rano przychodzili jacyś ludzie, aby zabrać to wszystko. I kolację jedliśmy już gdzie indziej. Janek mówił, że on mógłby się przeprowadzać codziennie. Właściwie ja także.

Więc wtedy mieszkaliśmy w tym pałacu. Przy nim był ogród i dwa stawy.

Jeden większy, drugi mniejszy. Ja wpadłem właśnie do większego. No, bośmy się bawili w Wandę, co to nie chciała Niemca i wołała skoczyć do Wisły. Mnie kazali właśnie grać Wandę. I, żeby wszystko było naprawdę, Bolek, który grał Rytygiera, popchnął mnie tak, że wpadłem do wody. Jakoś mnie jednak obaj potem wyciągnęli, tylko kapelusz popłynął z wiatrem daleko na środek stawu. Kapelusz, jak zawsze takich wypadkach, musiał być nowy, nowiusieńki. No, i naturalnie, kupiła go babcia.

Gdy mnie wyciągnęli, byłem zupełnie mokry. Więc kazali mi stanąć do słońca i schnąć. A była to jakaś piąta po południu. W kwietniu. I dosyć zimno, a oni obaj krzyczeli na mnie, abym schnął prędzej. I, że każdy z nich na moim miejscu byłby już dawno suchy... Schnąłem więc tak prędko, jak się tylko dało, ale ciągle jeszcze byłem mokry. I to ich bardzo gniewało. Mówili, że najdalej za kwadrans powinienem być zupełnie suchy.

Nagle zaczęło mi coś dziwnie pisać w jednym bucie. I byłem pewny,

że to żaba. Tak, jakby mi się coś ruszało pod pończochą.

– To nie żaba, tylko woda tak piszczy!

– Nie, na pewno żaba! Słowo honoru!

– Idiot! To zdejmij but! Zobaczmy!

Obraziłem się bardzo i, żeby im udowodnić, że to żaba, a nie żadna woda, zdjąłem trzewik. Żaby nie było wcale... Więc śmiali się ze mnie, a tymczasem zaczęło pisać w drugim bucie... Żeby ich przekonać, że to przecież żaba, zdjąłem i drugi but, ale wylało się tylko trochę wody. A żaby nie było. Co zaś najgorsze trzewiki nie dały się już włożyć, więc zostałem w samych pończochach. A Bolek irytował się i mówił, że ja jestem wszystkim winien, bo po co było naprawdę skakać do wody, jak grałem tę Wandę. Wystarczyłoby udać, a nie zaraz topić się. A potem po co zdejmowałem trzewiki?... I dlatego on odchodzi, żeby potem nie było przypadkiem na niego. Odszedł, ale jeszcze zaurócił się z drogi i dodał, że go to uprządkie nic a nic nie obchodzi, ale, że – jeśli za dziesięć minut nie będę zupełnie suchutka – to on mi jutro pokaże... I na pożegnanie krzyknął groźnie:

– A zazięb mi się! No!...

I żeby mamie nie pisać ani słowa! Ale to było całkiem niepotrzebne, bo i tak nie powiedziałbym za nic, ale to za nic. Anibym nie powiedział, ani

się nie zazięb, bo mamy nie można martwić. Mama teraz ma kłopoty.

Bolek odszedł, a ja zostałem z Jankiem, który mnie pilnował. Słońce tymczasem świeciło jak malowane i wreszcie zaszło, a ja tylko dzwoniłem zębami, bo już było całkiem zimno. Janek co chwila dotykał mnie rękami, ale w dalszym ciągu byłem mokrzuteńki. Więc Janek bardzo był zły na mnie i gadał, że to zawsze tak bywa, jak się bawi ze smarkaczami... Że już ostatni raz ze mną!... I żebym skakał, ruszał się prędko, bo inaczej gotowym się zaziębić, a wtedy mama nie pozwoli nam samym chodzić nad staw...

Tymczasem mama przyszła nad brzeg z ogrodnikiem, stróżem i jeszcze jakimiś chłopami i zaczęli szukać. Widziałem zza drzewa, jak jeden chłop zdjął buty i wszedł do wody. A potem odwiązali łódkę i widzieliśmy, że mama bardzo jest zdenerwowana i każe szukać w tym miejscu, gdzie pływał mój kapelusz. Ale obaj z Jankiem nie chcieliśmy się pokazać, aby mamy jeszcze bardziej nie martwić. Więc ci chłopie szukali dalej.

– A co będzie, jak mnie tam znajdą? – pomyślałem głośno, ale Janek oświadczył, że to jest wykluczone. I dodał, że w ogóle jestem idiota.

Jedna z łódek przywiozła mój kapelusz, a ten chłop, co szukał drągiem po dnie, wylazł na brzeg... Wtedy Janek obejrzał mnie dokładnie i stwierdził, że już jestem wcale suchy i że możemy wyjść z ukrycia. Pokazaliśmy się więc na głównej ścieżce, udając, że się bawimy. Niby że nic się nie stało...

Tam, na tej ścieżce, ujrzała nas mama. I chłopie bardzo targowali się o pieniądze. Zwłaszcza ten, który wszedł do wody, krzyczał, że zmarł okropnie... A właściwie, co on mógł o tym wiedzieć? Przecież on się zama-

czał tylko do pasa, a ja wpadłem cały z głową... I nic nie gadałem!

Wieczorem przy kolacji Bolek jakimś ponurym głosem zapytał mamę, czy dużo wzięli ci chłopie, ale mama odrzekła, że to już nie o pieniądze idzie, tylko...

I pierwszy raz widzieliśmy, że się z mamą coś stało, bo nagle wyszła do drugiego pokoju, nie zjadłszy kolacji. I nie chciała wrócić, mimo że bardzo prosiliśmy przez zamknięte drzwi... Bolek nawet szarpał za klamkę, ale mama nie odezwała się ani słowem. Tylko my i tak wiedzieliśmy, że mama płacze.

Postalismy jeszcze chwilę przy tych drzwiach i zrobiło nam się jakoś dziwnie na sercu. Ale nikt już nic nie mówił...

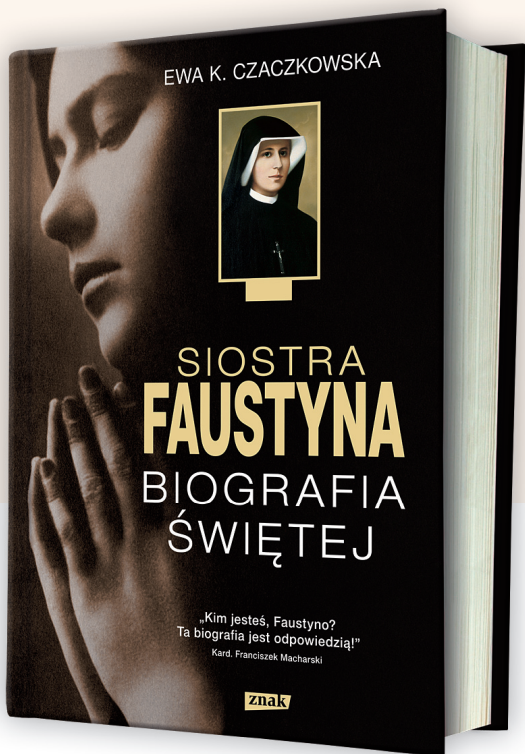
I przez kilka dni byliśmy najlepszymi dziećmi pod słońcem...

Przylądek Dobrej Nadziei to najbardziej znana powieść Zygmunta Nowakowskiego. Ukazała się w 1931 r. Do roku 2008 miała 16 wydań polskich (w kraju i na emigracji). Przetłumaczona została na języki: szwedzki, holenderski, niemiecki, angielski, czeski i chorwacki. Ta na pół autobiograficzna opowieść z dzieciństwa osadzona jest w realiach Krakowa przełomu wieków XIX i XX. Jej kontynuację stanowi – opisujący czasy gimnazjalne autora – *Rubikon*.

Prof. Alicja Baluch we wstępie do wydania z roku 1990 pisze: „Książka [...] przez jednych krytyków została uznana za «książkę słoneczną», przez innych [...] za smutną. Te subiektywne oceny czytelników tworzą granice ich doznań i przeżyć związanych z lekturą, które jak w prawdziwym życiu, na przykład życiu samego Zygmunta Nowakowskiego, mieszczą w sobie momenty dobre i złe. [...]”

W cytowanym fragmencie z łatwością odnajdziemy takie miejsca jak obecny Plac na Stawach i Dwór Łowczego przy ul. Kościuszki 37 – dzisiaj siedzibę Społecznego Instytutu Wydawniczego ZNAK.

PRZEŁOMOWA BIOGRAFIA SIOSTRY FAUSTYNY



Ważnych świętych trzeba przybliżyć ludziom na wiele sposobów.

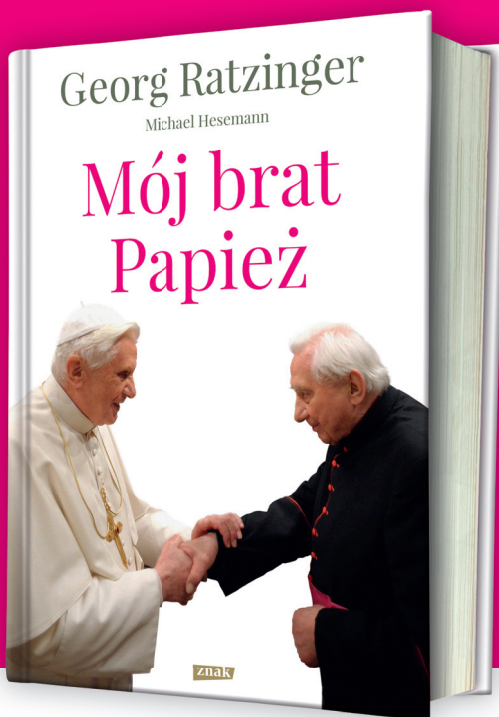
Jest istotne, by czynić to w sposób interesujący współczesnego człowieka, językiem trafiającym do czytelnika, a równocześnie prezentującym głębię duchowości świętego. Wszystkie te warunki spełnia książka pani Ewy Czackowskiej o Świętej Siostrze Faustynie.

Kard. Kazimierz Nycz

Kim jesteś, Faustyno?
Ta biografia jest odpowiedzią!

Kard. Franciszek Macharski

NAJBARDZIEJ OSOBISTY PORTRET BENEDYKTA XVI



Kiedy na Placu Świętego Piotra padły słowa *Habemus papam (...)* Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem Ratzinger!, Georg poczuł wielkie przygnębienie. Tak wielkie, że następnego ranka nie odebrał telefonu od swojego brata – nowego papieża...

Tylko Georg Ratzinger zna wszystkie przyzwyczajenia i tajemnice swojego młodszego brata – Josepha. Dzięki temu powstała jedyna w swoim rodzaju biografia Ojca Świętego – Benedykta XVI.

znak

PATRONI MEDIALNI:



PATRONI MEDIALNI:





Wypożyczalnia DVD
METROPOLIS
ROK ZAŁOŻENIA 1986



WINUS
WINO I KAWA




Zapraszamy na bal NA STAWACH



parking przy Placu na Stawach
Zwierzyniec, ul. Senatorska



dnia 23.06.2012 r. od 16⁰⁰ do 23⁰⁰
do tańca będą przygrywać



Makino i Andrusy
Krecia Robota
Boba Jazz Band

✱ ✱ ✱ ✱ ✱ ✱



Czynny Bar na Stawach - ogródek
więcej informacji: zwierzyniec.org.pl

Zapraszamy do wypożyczalni filmów **Metropolis i sklepu **Winus** - wino i kawa**
szeroka oferta - atrakcyjne ceny
Kraków, ul. Filarecka 3 i Lea 86

organizator: Jarek Sokół 602-220-568; jsokol@falco.com.pl

Na tropach Zygmunta Nowakowskiego, cz. 1

„Przylądek Dobrej Nadziei”: – Miarą zapamiętania postaci Z. Nowakowskiego jest fakt, że mamy kłopoty z odtworzeniem topografii miejsc z nim związanych. Nie myślimy oczywiście o Teatrze im. Słowackiego, Pałacu Prasy, czy stadionie Cracovii, ale już wokół ustalenia dokładnego adresu domu, w którym przyszedł na świat, zapanało pewne zamieszanie...

Krzysztof Jakubowski: – W *Spacerowniku* napisałem, że urodził się w Dworcu Łowczego przy ul. Kościuszki, ale z jego wspomnień zawartych w antologii *Kraj lat dziecińczych* („Kraków w miniaturze”, Londyn 1942), jasno wynika, że dworek ów pamięta tylko jako pierwsze miejsce zamieszkania z dzieciństwa. „Więc urodziłem się w domu przy ul. Smoleńskiej 24, ale tę kamienicę pamiętam z czasów, gdy wprowadziliśmy się do niej ponownie, w kilka lat później” – pisał.

PDN: – Rodzina Tempków często się przeprowadzała: Straszewskiego, Wolska, Zwierzyniecka, Rynek Kleparski, Basztowa i wiele innych miejsc. Najmocniej jednak czuł się Nowakowski powiązany ze Zwierzyniec – „Bom krakowiak! Z Półwisia Zwierzynieckiego!” – wołał w Wolnej Europie w *Liście do Krakowa* w roku 1953.

KJ: – Na Zwierzyniec mieszkał nie tylko w dzieciństwie, ale także w latach największej sławy i popularności. Jego adres odnaleziony w książce telefonicznej z roku 1939 to dom na rogu Alei Krasińskiego i Dunin-Wąsowicza.

PDN: – Jednak w artykule *Wiedza radosna* w londyńskich „Wiadomościach” w 1950 roku (nr 232–233) wzmiankuje nostalgicznie o swojej „Itace, ul. Pększyca-Grudzińskiego 8”. Tu dotyczył sprawy zagadkowej – gdzie stała willa „Pod Rozmarynem”, kupiona za honoraria autorskie uzyskane za przebojową *Gałązkę rozmarynu*? Stanisław Nicieja pisał, że przy ul. Słonecznej...

KJ: – Czyli dzisiejszej Bolesława Prusa. To jakaś legenda. Wizerunek domu zachowany w archiwum „Ikaca” – podpisany willa „Pod rozmarynem” – nie pasuje do żadnego z budynków przy tej ulicy, nawet biorąc poprawkę na barbarzyńskie przeróbki, jakim uległa nowoczesna, modernistyczna architektura willowego fragmentu dzielnicy.

PDN: – Też spacerowaliśmy po Prusa, usiłując dopasować zdjęcie do któregoś z domów. Poszukiwania na Pększyca-Grudzińskiego również nie dały efektu. Pod ósemką stoi coś bezstylowego, a nie zgrabny, funkcjonalistyczny dom...

KJ: – Bo przed wojną ul. Pększyca-Grudzińskiego znajdowała się na Cichym Kąci. Zmieniono jej nazwę, wraz z innymi krakowskimi ulicami w ramach wielkiej akcji około 1950 roku. Dzisiaj to ul. Domeyki. Stoją tam domy, budowane w latach 1936–1937. Patrząc na zdjęcie wchodzi w grę numery 4, 6 i 8. Numer 2 jest utrzymany w innej manierze, okazalszy – projektował go sam Adolf Szyszko-Bohusz. Żadna pamięć o Nowakowskim jednak tam nie przetrwała. Czyżby zdjęcie zostało mylnie podpisane? Jeśli tam w ogóle mieszkał, to przed samą wojną, może od jesieni 1938 r., skoro we wspomnianej książce telefonicznej występuje inny adres – Al. Krasińskiego 32. Trzeba by sprawdzić w księgach wieczystych, ale nie można tego zrobić bez zgody dzisiejszych właścicieli. Szczegółowo wątpliwe, aby chodziło o dom pod tym adresem.

KJ: – Jesteśmy jednak w posiadaniu relacji naoczego świadka. Pan Zygmunt Tempka – bratanek Nowakowskiego – opowiedział nam, że mieszkał na Pększyca-Grudzińskiego 8, na Cichym Kąci, u wujka w willi „Pod rozmarynem”, w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 r. Tam zastał ich wybuch wojny.

PDN: – Skoro tak, to taka informacja dopinguje mnie do dalszego śledztwa!

CDN

ŚWIĘTO DZIELNICY VII NIEDZIELA U DECJUSZA



Gra o Park 3 czerwca 2012

ZABAWY EDUKACYJNE, KONKURSY, SPEKTAKLE

- | | | | |
|-------|---|-------|--|
| 11.00 | Otwarcie pikniku GRA O PARK DECJUSZA | 14.40 | Otwarcie ŚWIĘTA DZIELNICY VII ZWIERZYNEC |
| 11.10 | Nieziemskie rozgrywki, Clever Kids | 14.50 | Rywalizacje muzyczne cz. II |
| 11.30 | Interpretacja ruchowa <i>Tańca Węgierskiego</i> J. Brahmsa oraz prezentacje uczniów Szkoły Muzycznej MOZART | | Przedszkole nr 78 i Szkoła Podstawowa nr 72 |
| 12.00 | Pan Twardowski udaje się na Euro | 15.30 | Konkurs aerobiku |
| | spektakl teatralny dla dzieci | 15.45 | Gra o Życie, spektakl młodzieży OSOD |
| 13.00 | Rywalizacje muzyczne cz. I – Państwowa Szkoła Muzyczna II st. im. W. Żeleńskiego w Krakowie | 15.50 | Gra o Park |
| | Klaudyna Włazło – śpiew | 16.10 | Pokaz mody Zespołu Szkół Odzieżowych nr 1 |
| | Kacper Gładys i Maciej Wiejaczka – duet akordeonowy | 16.30 | Występ zespołu rockowego „NoName” z Klubu Kultury „Chelm” |
| | Anna Pacholczak i Agata Wikalińska z kwartetem smyczkowym | 17.00 | Wręczenie wyróżnień i statuetek „Lajkonika” |
| 13.45 | Rozstrzygnięcie konkursu na najlepszy kostium Sportowca-Kibica | 17.40 | Koncert zespołu „Los Mar Sentimentales” |
| 14.30 | Mistrzowie i uczniowie – Szkoła Muzyczna MOZART | 18.30 | Finał Gry o Park |
| | | 18.45 | Występ Kabaretu „VaBank” |
| | | 19.45 | Finał konkursu na hasło promujące Dzielnicę VII Zwierzyniec wręczenie nagród |

Prowadzenie: PIOTR BEDNARSKI

WILLA DECJUSZA, KRAKÓW, ul. 28 LIPCA 17 A, tel. 12 425 36 44, www.villa.org.pl



Fragment planu Krakowa z 1912 roku, dwa lata po rozszerzeniu granic administracyjnych miasta. Widoczna m.in. stacja kolei obwodowej (cyrkumwalacyjnej) Krakowa – Zwierzyniec. W centralnym punkcie znajdziemy staw, w którym topił się mały Zygmunt Tempka-Nowakowski. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się Plac Na Stawach. Swoją przygodę opisał po latach w powieści *Przylądek Dobrej Nadziei*, której rozdział publikujemy na str. 7.